

NAJLEPSZA POWIEŚĆ DEKADY



WOŁODYMYR ŁYS



Stulecie Jakowa

Poznańskie Towarzystwo im. Iwana Franki

STULECIE JAKOWA

Wołodymyr Łys

POWIEŚĆ

Przekład

Anna Korzeniowska-Bihun

Tytuł

Stulecie Jakowa

Autor

Wołodymyr Łys

Wydawnictwo

Poznańskie Towarzystwo im. Iwana Franki

Przekład

Anna Korzeniowska-Bihun

Redakcja

Marzena Dobosz

Korekta

Anna Chyckowska

Projekt okładki

Tetiana Boiko

Copyright by Poznańskie Towarzystwo im. Iwana Franko

Copyright by Anna Korzeniowska-Bihun

ISBN: 978-83-967959-8-4

Poznań 2023

Naprawdę dobra książka

Nie lubię zasiadać w jury konkursów literackich. Nie ma w tym niczego przyjemnego – całymi dniami trzeba przerzucać, jak to ujął Majakowski, „tysiące ton słownej rudy”, by nie zgubić jakiegoś nieodkrytego talentu, a potem przez lata martwić się o jego los literacki, jakby się było mu to winnym. Więc kiedy tegoroczna Koronacja Słowa zaprosiła mnie do jury jubileuszowej Grand Koronacji, przeznaczonej wyłącznie dla laureatów z ubiegłych lat, najlepszych z najlepszych w ciągu dekady istnienia konkursu – odetchnęłam z ulgą: dobrze, przynajmniej nie będzie trzeba nikogo odkrywać! Autorzy są już jakoś znani, „oksiążkowani”, więc żadnej odpowiedzialności nie ma – i żadnych niespodzianek w związku z tym też nie będzie.

Na szczęście życie jest pełne niespodzianek.

Powieść *Stulecie Jakowa* zrobiła wrażenie na całym składzie jury, bez względu na gust czy upodobania literackie. Tak się dzieje tylko w przypadku naprawdę dobrych książek – od razu przekonują nawet największych sceptyków; jak dotyk żywej istoty przekonuje ciepłem i pulsowaniem krwi pod skórą. Okazało się, że wszyscy pochłonęli rękopis jednym tchem: życie starego Jakowa z poleskiej głuszy, jego miłości i wojny, jego występki i wyczyny, namiętności i cierpienia niespodziewanie okazały się bardziej pasjonujące niż stopy kryminalistów z przygodami zombi, upiorów, FSB i innych potworów. Wśród zalewu współczesnego literackiego silikonu Jakiw ze swą sagą rodzinną rzuca się w oczy jak żywy człowiek wśród manekinów: jest prawdziwy – budzi odruch współprzeżywania. Kobiety, rozpamiętując niektóre epizody, ocierały łzy, wszak melodramatu w powieści jest sporo, a jednak możemy w to wszystko uwierzyć... Czy nie dlatego, że „stulecie Jakowa” to także sto pełnych lat ukraińskiej historii, ze wszystkimi jej (gdzież tam do nich szekspirowskim!) niewypowiedzianymi i nieuświadomionymi tragediami, za które nadal spłacamy niepodsumowane rachunki? Czy wołyńskie Polesie na skrzyżowaniu reżimów, imperiów, narodów, armii, kultury i subkultur (kto tu się nie tłukł w „stulecie Jakowa” – od ułanów Piłsudskiego

do dilerów narkotykowych w jeepach) to scena, na której rozgrywa się odwieczny dramat walki człowieka ze światem o własną duszę? Czy książka ta jest nie tylko o dziadku Poleszuku, mężczyźnie z wymierającego gatunku prawdziwych, którego jak trzaskę ciskało po wodach występującego z brzegów XX stulecia – lecz także w jakiś tajemniczy sposób, jak to zawsze w prawdziwie dobrych książkach bywa – o każdym z nas?

Jednym słowem odkrycie jednak nastąpiło: jury przeżywało euforię astronoma, który właśnie ujrzał w teleskopie nową gwiazdę. Nie szkodzi, że twórca Jakowa, lucczanin Wołodymyr Łys, od dawna nie jest początkującym literatem (zresztą początkujący takiej książki by nie napisał!), że ma już spory dorobek – sztuki, kilka powieści, szereg nagród, publikacje w najlepszych stołecznych wydawnictwach. Jest to całkiem solidna kariera pisarska, choć nie „gwiazdorska” – czytelnicy jednak zwracali uwagę na inne nazwiska. No cóż, teraz, po *Stuleciu Jakowa*, skład „pierwszego eszelonu” współczesnej literatury ukraińskiej trzeba będzie zweryfikować – wszak utwory z tak epickim rozmachem i gęstością powstają nieczęsto nie tylko na Ukrainie...

Pomyślałam sobie jeszcze – jaki na podstawie tej powieści można by nakręcić film! Schowajcie się mosfilmy i hollywoody. I nie trzeba na to milionowych nakładów, kosztownych zdjęć, efektów komputerowych – wystarczy dobry reżyser i aktorzy: tacy, którzy poczuliby i szczerze odtworzyli ładunek człowieczeństwa, który zawarto w tej historii...

Oczywiście się rozmarzyłam... Należy się cieszyć – co pojął w trakcie swego wielkiego i pełnego cierpienia życia stary Jakiw – z tego, co jest. A tym czymś jest nieczęsty gość w naszym domu: naprawdę dobra książka, której teraz mogę tylko życzyć szczęśliwej drogi – do dobrych ludzi.

Oksana Zabuzko

Bo czymże jest życie wasze?

Parą jesteście, co się ukazuje na krótko, a potem znika.

List św. Jakuba (4,14)¹

Słyszysz, jak świerszcz gra...?

Słucha nieba poprzez noc

Serce owada.

Nieznany osiemnastowieczny poeta japoński

¹ Wszystkie cytaty biblijne za: *Biblia Tysiąclecia*, Poznań 2000.

Część pierwsza

Przybłęda. Wesele

1

„Jakież ja stary jestem – myśli Jakiw. – Jaki stary, Boże mój!”.

Właśnie się zachwiał na progu swojej chaty. By nie upaść, złapał się za odrzwia. Świat dokądś popłynął.

Nie był zdziwiony – już nieraz się tak zdarzało.

Dziwiło go coś innego – wcześniej traktował to jakoś inaczej. Zwyczajnie. Jakby tego nie zauważał. Udawał, że nie zauważa. Zatoczył się, to się zatoczył. Stary jest, no i już. A tu coś go zakłóło, jakby przeszło, w serce czy obok serca. I znowu. Właśnie tak upadnie, serce mu stanie, nie od razu go znajdą. Wtedy będzie mu wszystko jedno – znajdą czy nie, ale teraz nie jest.

„Dopóki żyję” – myśli Jakiw.

Ano dopóki żyje. Trzeba iść. Iść? Dokąd? I nagle rozumie – trzeba iść, wyglądać listonoszki. Może wreszcie przyniesie wiadomość. Od tej dziewczyny, od tej przekłetej dziewczyniny, Olenki, Aliony, jak ona mówiła.

2

Kocie, przybłędo, czyj jesteś? Jakiw patrzy na kota – starego, wyliniałego, z pozlepianą sierścią. Kot patrzy na niego i żałośnie miauczy.

„Jak ja stary” – myśli Jakiw. Czy kot też tak myśli?

Od tego jakby spokojniej się robi.

Kici, kici...

Kot podchodzi i ociera się o nogi. Do głowy Jakowa wciska się jakieś wspomnienie. O kocie. O kocie warkocie. Warkocisku.

„Na kota warkota, oj, napadła drętwota, a ty, dziecko, także śpij, tylko w łóżku nie zmoknij...” – tak, jakoś tak, śpiewała mama. Nie, nie jemu, on tego nie pamięta, pewnie, że nie pamięta. Siostrze Olce albo Iwanowi.

„Nie ma ich, nikogo nie ma – myśli Jakiw. – Sam zostałem. Olka jest, ale to córka. A czemu ja zostałem? Bo tak Bogu wygodnie. A czemu wygodnie? Ej, stary, o czym ty myślisz? O czym myślisz, stary...”

I w głowie mu świta inna myśl – żyje dlatego, że musi się doczekać listu od tej dziewczyny, dziewczuchy przekłętej, co o nim zapomniała. Obcej dziewczuchy. Mogłaby choć napisać, skoro przyjeżdżać nie chce. Mogłaby. Rzecz jasna nie powinien był zrobić tego, co zrobił. Ale czasu nie cofniesz. Nie odkręcisz do tyłu dnia czy roku jak koła.

Koło też do tyłu nie pojedzie.

Kot mruczy, Jakiw przysiada i głaszcze stare kocisko. Już od pół roku skądś ze wsi przychodzi, zżera wszystko, co dostanie: i bulbę, i chleb, a o kielbasce, którą Jakiw przyniesie z kooperatywu, to i mówić nie trzeba. A i obierki z bulby zaczął gryźć. Może zęby ścierał? Ale jakie tam zęby u takiego starucha? A może koty mają zęby do starości? Patrzenie tylko, tyle na świecie przeżył, stary dziadyga, a nie wie.

Schylić się – schylił; pogłaskać – pogłaskał, kocisko zadowolone, ale jak się teraz wyprostować? Ojoj, może się ręką oprzeć?

Jednak się podnosi, w boku strzyka, aż się w oczach ciemno robi, ale – szczęśliwie – szybko przechodzi.

Kot lezie za nim do chaty. Jeśli Olka dziś przyjdzie, to mleka przyniesie. On już od dawna mleka nie pije, bo ma sensacje po nim, szybki go dopada, jak to Olka mówi, a on to inaczej nazywa – „szprutny”. Nie, nie Olka, to Taras tak po nowemu mówi.

I wieś dla Jakowa to nie Zagoriany, tylko Zahorieny. Tarasowe dzieci śmieją się z tej wymowy. A niech się śmieją, on po ichniemu mówić nie będzie.

Jakiw wchodzi do chaty. A gdzie jest kot? Rozgląda się. Kot zatrzymał się na progu. Patrzy. Ogonem kręci. Waha się. Czemuż to? Nie chce iść? Przecież się nie boi.

– Chodź, bo nie wpuszczę – mówi Jakiw.

3

Listonoszka Nina zachodzi na podwórko pod wieczór. Jakiw widzi ją, jak idzie po trawie, czemuś ścieżkę omija. Za nią lezie obcy kot. Jakiw odwraca się od okna, szybko znów siada za stołem. Nina wchodzi do chaty i mówi:

– Dzień dobry, dziadku Jakowie. Żyjecie?

Jakiw odwraca głowę, odrywa się od stołu, na którym kruszył machorkę (o dziwo zachowała się do wiosny), i odpowiada:

– Dobry. Czemuż miałbym nie żyć? Chciałabyś, żeby umarł, nim list dostanę? Dawaj...

– Ale ja... dziadku Jakowie...

– Znów nie przyniosłaś? To po co żeś przyszła? Żeby...

Jakiw chce powiedzieć: „sprawdzić, czy jeszcze żyję?”, ale zanosi się kaszlem. Kaszle długo i z wysiłkiem.

– A wy co, znów palić zaczęliście? – pyta podejrzliwie Nina.

– Nie dam – mówi Jakiw i zasłania sobą stół z pociętą machorką.

– Czego nie dacie?

– Machorki zabrać...

– Jesteście jak małe... zupełnie jak małe dziecko, dziadku.

– Małe, nie małe, ale rzuciłem palenie.

– Więc po co machorkę kruszycie?

– Żebyś pytała... Co, bakun² ma się zmarnować?

² Bakun – lichy tytoń (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

O tak ich rozmowa wygląda. W istocie Jakiw się cieszy, że Nina zaszła do niego, chaty nie ominęła, choć listu nie ma. Znowu nie ma.

„I już nie będzie” – myśli nagle.

Palce rąk stają się zimne. Na ziemię wypada nóż. Dobrze, że nogę omija.

– Co z wami, dziadku? Siedźcie, siedźcie.

Nina się krząta. Przynosi wody. Zagląda w oczy. Dziwna kobieta. Jeszcze może ją przeżyć. Jego śmierć siedzi w tym liście. Na dnie, na samiuteńkim dnie koperty, maleńka i skulona jak ziarenko, które się potoczyło w szczelinę i straciło nadzieję, że kiedykolwiek wyrośnie. Bo listu („pisma”, na pewno powiedzialaby ta przeklęta dziewczynina) nie będzie. Nikt go nie pisze. A nawet jeśli pisze, to nie wyśle. A może jakaś durna baba na poczcie wyrzuciła go do kosza. Bo pomyślała sobie, na co dziadowi list.

– Lepiej się czujecie? To ja już pójdę.

– Ja się nie poczułem źle – mówi Jakiw. – Ty, tego... weź machorkę.

– Po co? Mój Tymko nie pali.

– Oddasz komuś. Toć do wszystkich chat zachodzisz.

– Już nie do wszystkich – żali się Nina. – Teraz gazet prawie nie prenumerują.

Nina idzie, w drzwiach jeszcze się ogląda. Stoi, na coś czeka. Wzdycha.

– Olkę waszą widziałam. Z pół godziny temu.

– To Olka prosiła, byś zaszła?

Jakiw blednie. Ale gniew z głowy wyciska mu jakaś ciemna fala. Przetacza się i przetacza pod czerepem, o już nawet zaszumiała, coś zaszeleściło. Boże, co to takiego, jeszcze naprawdę zdrowo fiknie... Upadnie jak ten snop, tylko cepa do niego nie będzie.

– Pogodzilibyście się z córką, dziadku. – Słyszysz przez ten narastający szum.

– Ale myśmy się nie pokłócili. Przecież mi mleko przynosi... I słoninę... I chleb...

Usta mu martwieją. Nagle, raptem. Patrzy Jakiw na listonoszkę i rozumie. Ona wie, jak przychodzi córka. Zostawia słoik z mlekiem i siatkę z jedzeniem przed progiem, bo ma zakaz wchodzenia do chaty.

„Pogodzę się – myśli Jakiw. – Jak Olka sama, pierwsza, przestąpi próg”.

Odprowadza Ninę. Na podwórku przypomina sobie, że nie dał jej machorki. Ileż to już lat nie kurzy? Pewnie z dziesięć. Ale bakun sadi. Czy nie ostatni we wsi. I mak uparcie sieje, choć na pierogi z makiem nie ma ochoty. Dzielnicy już się nawet przestał odgrażać, że karę wlepi albo do aresztu wsadzi.

Ale gdyby nie mak, to ta Olona tutaj, do jego ogródka, nawet by nie zaszła.

4

Wtedy jeszcze miał psa. W przeciwieństwie do kota przybłądy, jego – nie jego, pies miał imię – wabił się Asik. Jakiw nazywał stare psisko Asem. As już wtedy był stary i oblaźły, a ponieważ nigdy go nie kąpano, to z białego zrobił się brudnoszary. Pies zaszczeakał, cicho i ochryple, jak zwykł robić w ostatnich latach swego psiego życia. Jakiw musiał wyrzeć, więc wyrzał. Przybłąkał się ktoś na podwórko czy kot na ogrodzenie wskoczył?

Na drzewie, starej jabłoni koło chaty, siedział kot. Obce czarne kocisko. Łypało złym okiem na psa, który głowę zadarł i darł się ochryple.

– Niech sobie siedzi – powiedział Jakiw do Asa.

A potem poszedł do ogrodu, bo do chaty wracać mu się nie chciało, i na skraju, przy samym rowie, zobaczył podługowatą kolorową plamę. Tą plamą była właśnie Olenka, Olana, Olona, Alona. Ale wtedy jeszcze nie wiedział, jak się nazywa. Kiedy podszedł, zobaczył, że niewysokie, chude jak szczapa dziewczę niszczy jego mak. Rwie zupełnie zielone makówki i wrzuca do plastikowej torebki. Roztrzaskuje i rozrywa, cholera by ją wzięła.

Kiedy toto zobaczyło gospodarza (As biegł obok i zaszczeakał), krzyknęło:

– *Nie podchodzi, died, budu strielat*³.

Strzelać? Jakiw się zatrzymał. A dziewczyna-plama wyciągnęła rękę jak patyczek i krzyknęła, może nie tyle krzyknęła, ile raczej zasyczała:

– *Nie podchodzi, strielnu. Widisz, u mienia pistolet*⁴.

Zrozumiał, że ta narkomanka – widział już takich – przyszła w odwiedziny do jego maku. Tylko że tamtych dwoje bambaryłów, kiedy ich zobaczył, targować się zaczęło, by sprzedał, a ta, proszę, straszy.

³ Nie podchodź, dziadku, będę strzelać (ros.).

⁴ Nie podchodź, strzele. Widzisz, mam pistolet (ros.).

Kiedy zrozumiała, że nie przestraszy, palnęła z tego niewidzialnego rewolweru i krzyknęła: „Nie podchodź, dziadku!”. Nagle złapała jedną, drugą ocalałą niedojrzałą makówkę, zerwała i tak jak stała, zaczęła je sobie wpychać do ust. Dławiła się i pchała.

Jakiw złapał ją za rękę. Chudziutka, przypominająca siny patyczek łapina mało nie trzasnęła. Dziewczyna szarpnęła się, ale nagle zaczęła się osuwać. Przewróciła oczami. Zadygotała w konwulsjach. Jak epileptyczka...

– *Died... ty swolocz... umira... died...*⁵

Jakiw nie wiedział, co robić. Próbowal ją podnieść, ale nie dał rady. Nawet takiego chuchra nie mógł dźwignąć.

– *Uchodi, died... Uchodi*⁶, zabi... zabieraj ten swój... swój śmierzący mak...

Chrypiała i tłukła się o ziemię. A potem nagle ucichła. Jakiw nie wiedział, co robić: wzywać milicję, biec (gdzie tam biec, wlec się) po felczerkę? Czy może dochtórkę? Wołać sąsiadów? Czy zostawić tę nędzną strzygę – niech zdycha, jeśli nie teraz, to później, i tak nie żyje na tym świecie. I nie musi żyć.

As przestał szczekać, obwąchiwał ciało w kusej lekkiej sukieneczynie odsłaniającej chude ziemistożółte nogi. Jakiw spojrzał na twarz, która też nie bardzo przypominała ludzką. Szepnął „Boże” i odwrócił się. Niedobrze mu było, ogarnęły go mdłości.

Poszedł jednak do obory po wózek na gnój. Kto wie, czemu to zrobił. Może uznał, że zanim kogoś sprowadzi, będzie za późno. Bo nim doczłapie się do felczarki... A już sąsiedzi na pewno nie przybiegną ratować narkomanki. Przynajmniej do chaty ją zawiezie... albo na drogę wyprowadzi... a tam ktoś ją znajdzie...

Zanim poszedł, dotknął jej ciała. Dziewczyna-strzyga oddychała. Ledwo, bo ledwo, ale oddychała. A potem sapnęła.

– Zaraz wracam – burknął Jakiw.

Szedł do obory długo, a wracał jeszcze dłużej. Pchał przed sobą wózek, a ten wózek był – nie wiedzieć czemu – szczególnie ciężki. Jakby leżał na nim dwupudowy ciężarek – Jakiw bez trudu kiedyś taki podnosił.

Ale dziewczyny już w maku nie było. Siedziała po drugiej stronie rowu, rozrywała makówki i rozsypywała ziarnka wokół siebie. A potem zaglądała do środka, jakby czegoś szukała. Kiedy zobaczyła Jakowa, zaśmiała się ochryple, nie po miejsku, a potem pokiwała cieniutkim paluszkiem.

– *Died... Chodi, died, pokajfujem...*⁷

⁵ Dziadku... ty swolocz... umie... dziadku... (ros.).

⁶ Odejdź, dziadku, odejdź (ros.).

⁷ Dziadku... Chodź, dziadku, odlecimy... (ros.).

5

Splunął i poszedł do chaty. Szkoda było maku – ktoś mógłby napiec z niego pierogów, a i na kutię by się Olce przydał. Szkoda było maku, strzygi – nie.

A wieczorem pies zaczął szczekać, choć po starczemu i z wysiłkiem, ale uporczywie. Jakiw wyszedł w końcu do sieni i usłyszał skrobanie w drzwi. Za drzwiami na ziemi coś się poruszyło w ciemności i zasyczało. Jak dziwny zwierz.

– *Died... Spasi mienia, died...*⁸

I on poratował. Ledwo, ledwo zaciągnął tę durną strzygę do chaty, z wysiłkiem wreszcie zmusił ją, by jakoś stanęła na nogi, i męcząc się jak z nielichą kłodą, na łóżko wtarabanił.

Dziewczyna rzucała się, chrypiała, a potem jakby ożyła i zakręciła się w łóżku.

– *Died, czerwii łaziat... Poczemu u tiebia tak mnogo czerwiej? I takich bolszych... O, da twoja gołowa otormalas'... I moja tożę... Smotri, kak letajut... Chwataj, a to uletiat... Died, chwataj...*⁹

Czego ta dziewczucha nie wygadywała i w jakich strasznych mękach się skręcała. Raz po raz wila się w konwulsjach z wykrzywioną twarzą i pianą na ustach. Wydawało się, że jeszcze trochę i kipnie.

Jakiw nie wiedział, co robić. Biec po felczerkę? Ale nim wróci, ta przybędą do tego wszystkiego jeszcze chatę rozniesie czy nawet podpali. Wyrzucić? Wtedy całkiem przypadnie...

⁸ Dziadku... Ratuj mnie, dziadku... (ros.).

⁹ Dziadku, robaki łażą... Dlaczego u ciebie tak dużo robaków? I to takich dużych... O, twoja głowa się oderwała... I moja też... Patrz, jak latają... Łap, bo odleć... Dziadku, łap... (ros.).

W końcu jego przypadkowa podopieczna zamilkła i przez dłuższą chwilę Jakowowi wydawało się, że zamilkła na wieki. Jednak otworzyła oczy, drgnęła kilka razy, a potem powiedziała coś tak cicho, że musiał nachylić się nad łóżkiem, by to usłyszeć.

– *Died, sdielaj że chto-to... Nie ukolesz – pomru...*¹⁰

– A ty nie...? To ja dochtórkę zawołam...

– *Nie bojsia, izby nie sożgu*¹¹. – Jakby usłyszała jego myśli.

Dochtórka Wiktorija, którą sprowadził tego wieczora, spojrzała na ciało w półśnie wstrząsane konwulsjami, chwyciła za rękę, podciągnęła rękaw, popatrzyła na pokłuty sinożółty badyl.

– Absta, Jakowie Platonowyczu. Obawiam się, że ostatnie stadium.

– Ostatnie stadium?

– Tak. Powiadają, że oni wtedy nawet makówki jeść zaczynają...

– I ta wsuwała.

Dochtórka jeszcze raz spojrzała na zjawę, potem na Jakowa.

– Pogotowie, oczywiście, wezwę. Ma przy sobie dokumenty?

– Dokumenty?

– No dowód czy coś takiego...

– Nie wiem.

Ani dokumentów, ani innych rzeczy przy ćpuncie przybłędzie nie było. Tylko stara, usmolona sukieneczyna, a pod nią oczywiście dawno niezmienianie galotki, majteczki, jak to teraz nazywają. No, galotki to Jakiw zobaczył, kiedy na drugi dzień, zupełnie opadła z sił i poprosiła:

– *Died... Schodit' by mnie... Izwini... No dwigat' ničem nie mogu. Wsio słowno iz waty... Niet, iz żele...*¹²

Przyniósł stary garnek, pomógł jej zdjąć majteczki, a potem się odwrócił.

To było rano, a wieczorem Jakiw, nie wiedzieć czemu, powiedział dochtórcze:

– Nie trzeba pogotowia.

Nie wiedzieć czemu tak powiedział. Czy... Czy coś przeczuwał?

– Nie trzeba? – zdziwiła się dochtórka.

– Ja... tego, no... Jeden swój sposób wypróbuję.

– No jak chcecie. A jeśli umrze?

– Może nie umrze.

Dochtórka zrobiła jakiś zastrzyk i poszła.

¹⁰ Dziadku, zrób coś... Nie dasz mi zastrzyku – umrę... (ros.).

¹¹ Nie bój się, izby nie spalę (ros.).

¹² Dziadku... Poszłabym... Przepraszam... ale ruszyć niczym nie mogę... Wszystko dosłownie jak z waty... Nie, z galarety... (ros.)

Sposób... Przypomniał sobie, jak ciotka Herasymycha wujka Iwana od białej gorączki ratowała. A i jeszcze od złego uroku...

Wmusił, dosłownie na siłę wlał jej w usta ciepłą posoloną wodę z rumiankową nastojką. A kiedy zwymiotowała, nastojką z omanu (którą dla siebie przygotował, bo go kaszel w środku lata nie wiedzieć czemu zaczął dusić) napoił ją powoli, przez zęby pozwolił przecedzić.

Nieproszony gość to zasypiał, to się budził, chrypiał i znowu prosił o zastrzyk. Nad ranem wszystko ucichło, a kiedy Jakiw się obudził, zdrzemnąwszy się na ławie po nocnym niespaniu, wydało mu się, że dziewczyna nie oddycha. Rzucił się do niej i nachylił nad bladą jak śmierć twarzą.

Oddychała, choć prawie niezauważalnie.

Od tego dnia wziął się za zioła. I sposób Herasymychy nieboszczki i jeszcze ten znany z dziada pradziada na łamanie w kościach, na reumatyzm i na glisty w głowie, jak się u nich we wsi mówiło – wszystko wypróbował.

– Na co ci, tato, taki kłopot z tą przybłądą, przywłoką? – spytała Olka.

– W Piśmie jest powiedziane... Pomóż bliźniemu...

– Wiem, wiem... Pomożesz, a ona cię zabije albo okradnie. Taki to bliźni, a sikać razem nie chodziliście...

– Co u mnie można ukraść?

– Przyprowadzi takich samych.

Oni się kłócili się, a dziewczynina wszystko słyszała.

– *Tiotka, wy Ekziupery czytali?*¹³

Ojciec i córka obejrzeni się, zaskoczeni. Stoi toto, kiwa się na wietrze. Oczyskami – trzeba przyznać, że ładnymi, prawie błękitnymi, tęsknymi – błyska.

– Jaki do diabła Zuperi? – prychnęła Olka.

– *Katoryj Antuan, tiotienka. De Sent katoryj. Francuskiej graf, między proczim. Lotczik i pisatiel*¹⁴.

– No proszę, słyszysz, tato, toto się jeszcze znęca nade mną! – Olka chwyciła się pod boki, a Jakiw dobrze wiedział, jak groźny to gest. – Narkomanka, a gramotna.

– *Znacził, nie czytali* – powiedziała dziewczyna nie tyle z ironią, co ze smutkiem. – *A on, między proczim, pisał, chto my w otwietie za tiech, kogo priruczili. Wot. A died, szczytajtie, użę mienia priruczil... Slusxajus' jewo, kak eta sobaczka... Nia, nia, malen'kaja...*¹⁵

¹³ Ciotka, wyście Exupery'ego czytali? (ros.)

¹⁴ Ten Antoine, ciotuchno. Ten De Saint. Hrabia francuski, między innymi. Pilot i pisarz (ros.).

¹⁵ Znaczy, nie czytaliście. A on, między innymi, pisał, że jesteśmy odpowiedzialni za tych, których oswoiliśmy. Ot. A dziadek, można uznać, że już mnie oswoił... Słucham się go jak ten piesek... Na, na, mały... (ros.)

– Tfu... straszydło...

Córka splunęła i poszła sobie. Tak szybko, jakby od jakiejś paskudy uciekała.

A Jakiw nie wiedział, czy ma się cieszyć, czy fukać. I na kogo fukać – na siebie, na córkę czy na tę strzygę przybłąkaną?

A toto podeszło (już wiedział, że się nazywa Alona, znaczy – Olenka), w ramię tym swoim kościstym patyczkiem szturchnęło, pazurkiem czemuś poskrobało.

– *Spasibo, died, czto wiernuł mnie instynkt samosochranienija... Nie leczyńjem swoim, chotia i za eto spasibo... Ran'sze wiernuł... Kogda s etoj swojej taczkoj pritaszczylsia... Uszoł, a mnie poczemu-to za toboj połzti zachotielos'... Kołdun ty, nawiernoje, a, died... Ładno, poszli twoju gadost' pit'...*¹⁶

„Gadości” on wiele na niej próbował. I pietrasznik, i pokrzywę leśną, i rozmaryn, i kwiat cebuli, i sok z młodej bulby z serwatką potrzymany, i tę skalnicę, co skały kruszy, ale też kostkom i wnętrznościom pomóc może.

Półtora miesiąca minęło, nim do jako takiej przytomności ją przywrócił.

Dziwne, ale ona naprawdę się go słuchała. Tylko na początku dokąś się wyrwała, po zastrzyki, te swoje. Wtedy wiązał jej nogi, no niezupełnie wiązał, raczej pętał. Jak dla konia czy kobyły pęto robił. Kiedy się obudziła i zobaczyła to na nogach, powiedziała tylko:

– *Da ty izdiwajeszsia nado mnoj, died*¹⁷.

– Będiesz tak chodzić, dopóki ci rozum nie wróci – powiedział Jakiw ponuro.

Popatrzyła – gromy z oczu cisnęła.

– *Ładuszki, diedula, czort z toboj... Pochożu i tak*¹⁸.

I tak chodziła, ledwo człapała po podwórku dopóty, dopóki nie pozwolił jej zrzucić tych sznurkowych kajdanek.

¹⁶ Dziękuję, dziadku, że przywróciłeś mi instynkt samozachowawczy... Nie swoim leczeniem, choć i za nie dziękuję... Wcześniej przywróciłeś... Kiedy się z tą swoją taczka przytarabaniłeś... Poszedłeś, a mnie się czemuś zachciało za tobą poleżeć... Na pewno jesteś czarownikiem, dziadku... Dobrze, chodźmy pić to twoje ohydztwo... (ros.)

¹⁷ Znęcasz się nade mną, dziadku (ros.).

¹⁸ Dobrze, dziadeńku, czort z tobą... I tak pochodzę (ros.).

6

Po kilku dniach, czy może po całym tygodniu od tej rozmowy z Olką, siedzieli na progu chaty – ćwirkunów¹⁹ słuchali – rozśpiewały się, rozrzępoliły zarazy. I Olenka spytała:

– *Died, a ty lubił kogda-nibud’?*²⁰

– Co?... – Aż drgnął zaskoczony.

– *Nu, lubił, spraszynaju... W junosti ili kogda tam? Baba ż u tiebia była, raz docz jest’?*²¹

Czy kochał? Co ta dziewczynina wie o miłości?

I kiedy tak z Olenką siedział, nagle tamta rozmowa mu przed oczami stanęła – matki jego, Paraski, i sąsiadki Fedotychy. Tamta rozmowa...

On, mały Jaszko, usłyszał, kiedy zza stodoły z sikania wracał.

– Coś nam, kumo, trzeba z dziećmi robić. – To Fedotycha Jaryna mówiła.

– A co takiego, kumo? Z kim robić?

– No z twoim Jaszkiem i moją Ułanką. – Fedotycha rozejrzała się, ściszyła głos, a Jakiw-Jaszko zdążył się za róg chaty schować. – Toć widzicie, kumo, że jedno od drugiego nie odchodzi. Co chwila Jaszko do nas biega, a Ulasia do waszej chaty próbuje się wyrwać. O świętach to już nawet nie wspomnę.

– Toć to dzieci, kumo. – Jaszko usłyszał, jak wystraszony z początku głos matki poweselał. – Jesteśmy sąsiadami, to i one się przyjaźnią.

Tu Fedotycha jeszcze raz się rozejrzała. Jaszko zobaczył, jak jej oczy błysnęły.

„Jak u kota rozrabiaki” – pomyślał.

¹⁹ Ćwirkun – gwarowo świerszcz.

²⁰ Dziadku, czy ty kiedykolwiek kochałeś? (ros.)

²¹ No, czy kochałeś kiedyś, pytam... W młodości czy kiedy tam? Musiałeś mieć przecież babę, w końcu córkę masz? (ros.)

– Oj, nie gadajcie, kumo... Dzieci dziećmi, ale widzę, jak wasz Jaszko na nią patrzy. Jak moja babunia nieboszczka mówili – sto słowików w oczach siedzi i wyśpiewuje. A i Ulasia do niego się garnie. Wracam z ogrodu, widzę, siedzą na kłodach koło chlewa, i co wy sobie myślicie: Ulasia prawie jak dziewczka, co parobkowi na ramieniu główkę położyła. Nie będzie z tego nic dobrego, kumo. A ja źle waszemu synowi nie życzę, sami wiecie.

Jaszko zobaczył, jak ciemna chmura przysłoniła maminią twarz. Aż podniósł wzrok i spojrzał na czyste letnie niebo. Ani jednej chmurki, tylko Boży błękit, jak to babcia mawiała. Może mama Paraska przeczuwała, co dalej powie kuma i sąsiadka? A ta powiedziała, że przyjaźń ich dzieci jest bardzo niebezpieczna. Że wiedzie prostą ścieżką do głupiej miłości. Jeśli już nie przywiodła. Nie żegnajcie się, kumo, i nie patrzcie tak na mnie. O głupotę nie trudno. Zakochać się, to jak kwartę wody wypić. Jeszcze rok, dwa, no może trzy... Zakochają się, zamilują, a tam... Nie, kumo, ja nie mam nic przeciwko takiemu zięciowi jak wasz synek, a mój chrześniak. Widać, że rośnie chłopiec pracowity, zmysłny: plot zaczął naprawiać, jak stary. Ale, kumo, mój Fedot przeklęty za żadne skarby nie wyda Ulanki za Jaszka. No przecież sami wiecie, kumo...

– Wiem, kumo, że my dla was bieda z nędzą jesteśmy – powiedziała matka, ciężko wzdychając, z przyświstem, jakby właśnie wiorstę przebiegła. – Gdzież nam się z wami równać... Wiadomo, że koń z koniem, a wół... Oj, kumo, robota na mnie w chacie czeka...

– Nie gniewajcie się, kumko, bo ja niczego takiego nie powiedziałam i wy niczego takiego ode mnie nie usłyszeliście – odpowiedziała Jaryna słodkim głosem. – Ale prawda jest taka, że Fedot chce, jak Ułana podrośnie, z Werhunami się spokrewnić. Z tymi bogaczami, którym i my równi nie jesteśmy. Bata na niego nie ma. Już oni z Kraponem (użyła wiejskiego przydomka starego Werhuna), Jihorem, o tym rozmawiali, słyszałam, a jak mój Fedot na coś się uprze, to choć mu kolki na głowie ciosaj, nie przekonasz go i wozem nie objedziesz, wyda i już.

Potem mówiła, że sami, kumo, wiecie, co to się stało z Iwanem Tarutynem, kiedy tę Chomicziską Wasylynę za innego wydali. A ja, kumo, czegoś takiego dla waszego syna, a mojego chrześniaka, nie chcę.

Jaszko wiedział, co się stało z Iwanem, który mieszkał na ich Młynyszczu, w zagoriańskim zakątku, dwie ulice od ich chaty. Dwa dni po Wasylynowym weselu chłopca znaleziono w rzeczce Mereżce z kamieniem u szyi. Z kamieniem, na którym nożem czy czymś ostrym biedny, ale piśmienny Iwan wydrapał pół słowa: „Wasy...”. Mówią, że za poprzedniej wielkiej wojny, na Saratowszyźnie, dokąd wywieziono rodziny z ich wsi, gdy zbliżali się Austriacy, do szkoły chodził. Ich rodzinę nawet przeżywano Saratowcami.

Pochowali Iwana za cmentarnym murem, bez batiuszki i *otpiewanija*²² i pop na Radonicę²³ obchodził niepoświęconą mogilkę. I matka jego rozczochrana po wsi się snuła i prosiła ludzi, by zobaczyli, czy w rzeczce Iwana nie ma, bo wyszedł, oj, wyszedł on z mogilki i znów poszedł się topić.

Kiedy Fedotycha wróciła do siebie, Jakiw wypadł zza chaty na odrętwiałych, jakby nie swoich nogach i matce na podolek się rzucił, czego już dawno nie robił, bo przecież był z niego kawaler.

– Słyszałeś, synku? – Mama głaskała go po głowie, jakby był małym dzieckiem.

– Słyszałem, mammo...

– Niech ich jasny ogień pochłonie, tych bogaczy. Patrz no tylko, nie jesteśmy im równi, choć nie odmówili, by się z nami pokumać, choć niby sąsiadami jak należy jesteśmy. Za tego wytrzeszcza Werhuna, patrz, postanowił Ułankę wydać! A żeby go tak kuksało w oba boki przez cztery roki, a na piąty pypeć jak żaba na języku wyrósł.

Matka przeklinała i kuma, i Werhunów – starego, brzuchatego bogacza, i młodego, sowę wylupiaastooką, a Jakiw zobaczył nagle, że to nie Iwan Saratowiec, ale on – Jaszko, Jakiw, już jako całkiem dorosły młodzieniec idzie nad rzekę z kamieniem, wielkim kamieniskiem w rękach, na brzegu obwiązuje kamień sznurkiem i zawiesza sobie na szyi. Czy coś na kamieniu wydrapie? Ulancyne imię. Przecież przez dwie zimy też do szkoły chodził.

– Nie, nie. – Czy to pomyślał, czy wyszeptał, i palce jego wczepiły się maminą spódnice.

– Co z tobą, Jaszo? – Mama przestraszyła się nie na żarty, chwyciła jego głowę w dłonie i spojrzała mu w oczy.

– Nic, mammo – powiedział Jakiw, ale pomyślał, że za nic na świecie nikomu Ułanki nie odda.

I topić się też nie pójdzie.

²² Otpiewanije – prawosławny pochówek.

²³ Radonica – prawosławne Święto Zmarłych.

7

Mama Paraska grzeszyła. Albo swoje pobożne życzenia uważała za prawdę. Tymisz Werhun, Tymko, Tymofij Hłuszczuk nie był wylupiaśtooki, a jego oczy były ciemnoorzechowe. Cygańskie – mówiono we wsi. Podrastał, dorastał, a te oczy i kształtna sylwetka coraz bardziej przyciągały spojrzenia dziewcząt. Poza tym, że był Tymko z bogatej rodziny, krasnolicy i zgrabny, miał jeszcze jedną przewagę nad Jakowem – był o trzy lata starszy od Ulanki, a Jakiw tylko o rok z hakiem. A więc Tymisz miał pełne prawo wcześniej wysłać swatów.

Po tej podsłuchanej rozmowie Jaszko zaczął unikać Ulanki. W końcu to zauważyła i spytała, co się z nim dzieje.

– Ciebie za mąż wydają za Werhuna – powiedział wprost.

– Za mąż? Co ty gadasz, Jasiu? Ja jeszcze za młoda jestem...

– Podrośniesz, to wydadzą.

– Coś ty sobie wymyślił, Jasiu? – Ulanka aż nóżką tupnęła, chwyciła się pod boki, zupełnie jak dorosła.

– Matka twoja mówiła.

– Matka...

Ulanka parsknęła dźwięcznym śmiechem. I on też zaczął się śmiać. Śmiał się z tego, że uwierzył, że Ulanka mogłaby należeć do innego, być z kimś innym niż on, Jaszko, nawet z Werhunem!

– Ja się spytam mamy – powiedziała Ulanka, kiedy przestała się śmiać.

– Poczekaj...

Ale ona już pobiegła. Mignęły bose stopy. Jaszko widział, jak do swej mamy zagadła. Jak ta coś odpowiedziała, potem rękami zamachała w złości. Potem obie za chatą zniknęły.

A gdy się znowu spotkali – w ogrodzie, przy miedzy – Ulanka powiedziała, że uprzedziła mamę: do końca życia będzie się z Jaszkiem przyjaźnić.

– *Died* – powiedziała Olenka. – *Tak ty na niej i żeniłśia? I żyli ny dołgo i szczęśliwo, tolko ona umierła ran’sze tiebia? Da, died?*²⁴

„Cóż ona może wiedzieć, ta dziewczynina” – pomyślał Jakiw.

Zakłuło go gdzieś pod sercem. Usłyszał nawet dźwięk – odległy, przenikliwy, jakby coś pękło, zabrzęczało i nie mogło przestać brzęczeć.

– *Da, died? Poczemu ty umołk?*²⁵ – Olenka spojrzała mu w oczy. Z niepokojem, nawet lękiem.

„Tak patrzy ptaszek” – przebiegło mu przez myśl.

– *Ja szto-to nie to skazała? Ona...*²⁶

– Tymisz się z nią ożenił – powiedział Jakiw. I wesele było.

– *Wot kak? No ty ż nie pobieżał topit’sia, kak tot wasz Iwanuszka? Czto ty sdietał? Ujechał? A ona?*²⁷

Co on zrobił? Pyta, co on zrobił? A co on mógł zrobić?

– Wykradłem ją z wesela – powiedział Jakiw. – Siłą zabrałem.

– *Ukrał?* – Olenka aż się na nogi zerwała, a on zobaczył, że jej oczy błysnęły, z nieukrywaną ciekawością i zachwytem. – *Nu ty dajosz, died! Priam kowboj kakoj-to.*²⁸

– Kowboj...

– *Da. Woobszcze-to, jeśli prismotriet’sia, ty kogda-to wpołnie był maczo... Tiebie skolko siejezas?*²⁹

– Dziewięćdziesiąt cztery skończyłem – westchnął Jakiw. – Dziewięćdziesiąty piąty idzie.

– *Joli-pali!* – Klasnęła patykowatymi rękami. – *Da ty, died, nastojaszczyj wietieran wojny dwienadcatogo goda. Ili daże Kulikowskoj bitny. Da... Mnie by połowinu twojego protianut’...*³⁰

²⁴ Dziadku, więc ty się z nią ożeniłeś? I żyliście długo i szczęśliwie, tylko ona wcześniej umarła? Tak, dziadku? (ros.)

²⁵ Tak, dziadku? Dlaczego zamilkłeś? (ros.)

²⁶ Coś nie tak powiedziałam? Ona... (ros.)

²⁷ Jak to? I ty nie pobiegłeś się topić jak ten wasz Iwanuszka? Co zrobiłeś? Wyjechałeś? A ona? (ros.)

²⁸ Wykradłeś? Ale dajesz, dziadku! Po prostu kowboj jakiś! (ros.)

²⁹ Tak. A w ogóle, jeśli tak na to popatrzeć, kiedyś ty byłeś po prostu macho... Ile masz teraz lat? (ros.)

³⁰ Jolki-palki. Dziadku, to ty jesteś prawdziwym weteranem wojny dwudziestego roku. A nawet bitwy na Kulikowym Polu. No no... Żebyś tak chociaż dociągnęła do połowy tego co ty... (ros.)